

K A Z I M I E R Z W Y K A

życie na niby



universitas

życie na niby



K A Z I M I E R Z W Y K A

życie na niby

Kraków

© Copyright by Marta Wyka, Małgorzata Wyka and Towarzystwo Autorów
i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 2010

ISBN 97883-242-1410-5
TAiWPN UNIVERSITAS

Opracowanie redakcyjne
Wanda Lohman

Projekt okładki i stron tytułowych
Sepielak

www.universitas.com.pl

PAMIĘTNIK PO KLĘSCIE

Rzecz niniejsza, pisana zimą 1939–1940, miała stanowić rodzaj pamiętnika myślowego po klęsce. Później przerwana i już nie kontynuowana w całkiem innej atmosferze, kiedy sprawa zrazu tylko polska okazała się ogólną. Pierwszym przeto po niej szkicem był „Pesymizm a odbudowa człowieka” (XII, 1940 – I, 1941).

15.9.44

Powróciliśmy do porzuconych domów. Wywiodły nas stopy uderzone przerażeniem i klęską, wróciliśmy po innych śladach. Ziemię naszą nieprzeliczonymi wstęgami opasał szatan. Na wzruszających i naiwnych feretronach, w ołtarzach wiejskich kościółków przedstawiają go jako żmija potwornego, odzianego w łuski, w skręty pancerne. Na średniowiecznych malowidłach, w obrazach Sądów Ostatecznych czy kuszeń św. Antoniego, jest on dziwotworem, rogatym w płyty, rozgałęzionym jak polip o mackach skamieniałych w twardziny.

Gdziekolwiek po jego przejściu przemierzyłeś w dni września nasz kraj, wszędzie w długich smugach znaczyły się ślady czołgowych gąsienic, skrętów pancernych. Jakby wymierzał tą splątaną pajęczyną sobie tylko wiadomą mapę. Szatan zbrojny w żelazo położył swoją liczną pieczęć na twarzy ojczyzny naszej. Po jego śladach jeszcze nie ostygłych powróciliśmy do domów naszych.

Stała się jesień do rozmyślań szczególnie sposobna. Odcięci od świata, wyrzuceni z prac swoich, jesteśmy skazani, by wstąpić w siebie, wejść w wstydlive zakamarki, pomijane w zgiełku normalnego i swobodnego życia. Fakt górujący w naszych rozmyślaniach i pytaniach jest jeden. Gdyby nie przygniatał z taką przemocą, rzecz by można, że jest wprost banalny, tak powszechnie istnieje w świadomości zbiorowej. A któż z nas wie już teraz odpowiedź? Jednak przed tym pytaniem się nie obronisz. Jednak trzeba żmudnie i samotnie cofać się po trwających w pamięci niciach aż do miejsca, gdzie postawiającej się w naszych oczach historii jest brutalnie przecięty, i teraz – zadanie najtrudniejsze – tam gdzie snuło się pasmo pozornie mocne i obliczone na ciężkie próby, pasmo polskiego pokoju, szukać nici zetłałych i łudzących wytrzymałością.

Pytanie jest jedno. Jak się to mogło stać? Jak się mogło stać, że w przeciągu kilkunastu dni rozpadło się państwo niepoślednie, obfite w obszar i mieszkańców. Jak do próby, która – nie umiemy jeszcze odpowiedzieć, nie mamy możliwości porównań, ale nie jesteśmy chyba pyszni w przecenianiu przeżyć własnych – do próby, która nie miała równych w historii naszego narodu, można go było poprowadzić w sposób tak zbrodnictwo lekkożylny? Jak w duszy zbiorowej, której wielu odmawiano cnót, lecz nigdy odwagi, mogło się objawić tyle słabości, wprost trwogi? Jak można było trwać bezkarnie, bez rozpoznania rzeczywistości, w takim samookłamywaniu i samouwielbieniu?

Darmo pytania mnożyć. Nie wyczerpiesz ich. Wtórąje im rozwlekły jęk wiatru, za zroszoną szybą przebiegają cienie gałęzi. Za dnia młode wiśnie potrząsają grzywami płomiennych listeczków, żarliwych jak jęczyczki, co w dzień zesłania Ducha zapłonęły nad głowami apostołów. Przemawiają na wietrze drżącym ruchem, dobywają słowa ostatniego, nim spadną na czarną, tęczującą od wilgoci ziemię. W głębinach niebios ścina się już śnieg i nocami próbuje wytrzymałości swojej, pierzcha o świcie, przychwycisz go tylko na wysokich polach pod lasami, w kącie za drewnutnią.

Chłopi wydobywają zabrudzone i zmięte karteczki, na których proboszcz czy sołtys potwierdzają, że Madyda Sebastian lub Dudka Wojciech spłonął z całym dobytkiem w nocy z czwartego na piątego września. W tej okolicy wszystko się odbyło tej jednej nocy. Pojawiają się w miasteczku twarze od dawna nie widziane. Zadomowili się

gdzieś na Śląsku czy w Poznańskim i w tę jesień jedynym przytułkiem okazuje się chałupa rodzinna. Nikt nie zna nazwisk żołnierzy, złożonych na cmentarzu miejscowym. W tej klęsce ziemi oddani zostali sami nieznani żołnierze, wszędzie, gdzie ich groby, niewiadomi i bezimienni.



Żelazny i błyskawiczny pochód niemiecki zdawał się jakoś znajomy. Kiedy w nocy ucieczki płonęły nieznane wsi, kiedy dniem i nocą, i znów nocą i dniem, w kurzu nie opadającym jak powłoka mgieł, w chrzęście i niskim, drażniącym huczeniu, sunął głównymi szlakami najeżdźca, przytłumione wyobrażenia, poczęte z pamięci czasów i zniszczeń dawnych, powstawały w duszy. Tak samo musiało wyglądać najście Krzyżaków, z takim wilczym pośpiechem przez puszcze średniowieczne przerywać się musiały, byle naprzód, byle najdalej, zagony Tatarów. I ta sama przed nimi biegła wieść grozy, obezwładniająca wolę i decyzję, tym samym złym skrzydłem wybiegała przed krok najeżdźcy. Pancierz i biały krzyż na czołgach były krzyżackie, pośpiech i niepokój łupieżców był tatarski. Było to starcie płowowłosego Słowianina, zbrojnego w maczugę, procę i oszczep ledwo okuty, z rycerzem w hartowanej zbroi. Karabin siedł na czołg, maczuga na miecz obosieczny. Ta różnica krzyżacka zwyciężała teraz jak przed wiekami. I stąd ta klęska i wojna do żadnej niepodobna jest tak polska i chciałoby się powiedzieć – zgodna z tradycją naszych klęsk. Wystarczy sięgnąć w przeszłość, by mniej obco czuć się w jej obliczu.

Odśloniły się w tych tygodniach wrześnie również prawdy inne, z tą samą oczywistością, prześlepianą w latach pokoju, wpisane w tę ziemię i jej dzieje. Z kart geografii zbiegły mądrze ułożone zdania o kraju przejściowym, otwartym, o procencie granicy niebezpiecznej, o oporze, który zdolny jest na tej ziemi stawić tylko człowiek, gdy nie postawi go przyroda. Natura tej ziemi płaskiej i bezbronnej usunęła z niej wszystko, co mogłoby przerwać, bodaj opóźnić, pochód żelaznych kohort. Ludzie niewiele jej przydali obronności i oto obnażyła się przed nami jej okrutna w swej bezbronności i łagodności istota.

Uczyniła ta ziemia wszystko, by kara dopełniła się pospiesznie i bezwzględnie. Do końca życia nie zapomnimy tych niesamowicie trwałych pogód września, rozpiętych nad płaszczyznami Polski różańcem upalnych dni i nocy zatłoczonych od gwiazd, różańcem tak niezmiennym, że stracona bywała rachuba dni i wydawać się mogło, że to sam czas przystanął w locie, zastygł w pysznej obojętności przyrody, obojętnej na dopełniające się w jej tle losy ludzkie. Ziemia nasza była jedną wielką mapą rozwijaną pędem bombowców. Jak nieme i przerażone zwierciadło przyjmowała w siebie cienie przelatujących eskadr i nie myliła je z obłokami. Drogami wlokły się kłębowiska kurzawy, nie ściekające ku ziemi, podniecane nowym milionem stóp. O przedrannej godzinie wstawały mgły i majakiem rozcieńczały martwiejący w ostatniej kwadrze księżyc. Milczące i znużone rzesze w tych godzinach zdawały się pochodzić wprost z zapomnianych grobów powstańczych, na taką samą klęskę i beznadziejność podniesione nocnym oddechem ziemi. Polskie, ponure zmartwychwstanie wszystkich mar, na krótką chwilę niepodległości zapomnianych. Bagna nadrzeczne spękane i pobrużdżone w skorupiaste wieloboki nie wciągały stóp. Wisła przestawała toczyć wody i zapóźnione dywizje przechodziły ją w bród. Z wyschniętych studzien wiadra czerpały brudny szlam. Kto jej nie znał, temu odsłoniła się Polska nędzna i zesmutniała w ubóstwie, w prowincjonalnej i zapadłej wiejskiej biedzie, rzadko ozdobiona pamiątką wspanialszych czasów, kraj, którego świetność mieści się w przeszłości dalekiej, a którego przyszłość jest niewiadoma, czekająca dopiero pracy dawnej, niegdyś w ten kraj już włożonej, a zmazanej niewolą i obojętnością ludzką. Kiedy na drodze odludnej, za płotkiem z nie obrobionych gałęzi, na brzeżku bajora pełnego wymierających żab przysiadłeś patrząc na senne i rdzawe płachty pól, na wieś poza czasem zdającą się trwać, nie było nawet buntu, jedynie gorycz i bezsilność. Niech się dopełni rytm nocy i dni klęski, nieomylny jak zegar, któremu nie wolno spocząć, póki nie dokona się godzina kary.



W sierpniu, kiedy nieuchronność wojny stała się już pewnikiem, a tylko jej termin był niewiadomy, wiodłem rozmowę, że nadcho-

dzająca wojna będzie dla Polski pierwszą od czasów bodaj Batorego wojną prawdziwą, obmyśloną i przygotowaną. Wojną godną państwa i narodu, który pragnie być podmiotem historii i jej świadomym współtwórcą. Od czasów Batorego, ponieważ był to ostatni król, który umiał przekonać naród, że w grze historycznej wojna jest stawką, jaką naród dojrzały winien się świadomie posługiwać i jakiej mu nie wolno pomijać w rejestrze sytuacji i niebezpieczeństw, na które naród winien być przygotowany. Wojny bowiem XVII stulecia były jedynie wojowaniem, wywołanym nie myślą i przewidywaniem narodu, lecz zaciętością i rozmaitością przeciwników. Były zawsze tylko – bohaterskim najczęściej, tego my potomni nie zaprzeczmy – o d g r y z a n i e m s i ę. A później przez całe stulecia tylko improvizacje, szaleństwa na nieludzką miarę, garstki bohaterskie, próby wkupienia się w historię Somosierrami, Rokitnami, potyczką legionową. Zdawać się mogło, że próba nadchodząca nie będzie już taką improvizacją, wchodzeniem w historię przez dymnik.

Była w tym przekonaniu duma i była niecierpliwa gotowość. Oczekiwaliśmy tej wojny bez lęku, nie dlatego, by zwycięstwo było pewne, lecz dlatego, żeśmy sądzili, że potrafimy nareszcie wejść do historii drogą bitą i trudną, hartownością w chwili najcięższej. Otarłem się kiedyś o pacyfizm. Wśród ludzi mojego pokolenia nierzadka to przygoda duchowa, usprawiedliwiona nadziejami, jakie pod koniec pierwszego dziesięciolecia międzywojennego mógł budzić pacyfizm, wyglądający wówczas na coś więcej od inteligenckiego wmówienia i naiwności, że próba przebyta przez jedną generację zdoła następne uchronić od jej powtarzania. Jak gdyby powtarzanie takie nie było wszczepione w naturę człowieka. Krótka przygoda nie pozostawiła śladów i ustąpiła przed przekonaniem, którego nie wytrzebi żadna klęska i żadne okrucieństwo wojny, że miarą zdrowia narodu i obnażeniem wszystkich cnót pokojowych i niedostrzegalnych wad jest dopiero wojna. Historia jest sprawiedliwa przez swoją surowość i bezwzględność, nie znosi wybiegów, odsłania wykręty i nie czas żałować, że tak jest, czas jedynie posiadać prawdę i złudom nie dać się omamić. Dumna radość była w oczekiwaniu, że do tej surowej sprawiedliwości dziejów stajemy dorośli, w pewności niemal, że rozumiemy jej prawa.

Nie znaczy to, bym sądził, że w spotkaniu nawet częściowym z Niemcami zdołamy wyjść zwycięsko. Spokojnie, trzeźwo przyjm-

owało się perspektywę przegranej po kilku miesiącach, mimo że wszystko czyniono w prasie, opinii, by taką odpowiedź ostateczną przysłonić, jakoś zaćmić, zablagować, byśmy w ogóle nie domyśleli kwestii do końca i nie odpowiadali przed własnym sumieniem, czy możliwe jest zwycięstwo. Ale trwała równie spokojnie pewność, że przegrana przyjdzie po walce wydobywającej z narodu i ziemi ich wszystkie możliwości, po walce świadczącej, że naród i jego kierownictwo wydobyli w czas pokoju wszystko, co do tej próby wydobyć należało. Za zwycięstwo wróg winien był zapłacić cenę tak krwawą, że do wojny z Zachodem stawać miał wyczerpany i chwiejny. Mieliśmy prawo żądać i spodziewać się takiej ceny krwi, albowiem wiedzieliśmy, że tutaj idzie spór o samą egzystencję biologiczną narodu polskiego. Na Zachodzie stawka była dużo mniejsza i dalsza od tej zaciętej pierwotności. W tym oczekiwaniu była duma słabszego wprawdzie, lecz świadomego swojej słuszności i pewnego, że na czas pożaru nie omieszkął niczego zaniedbać, by zwęgloną chatę podnieść rychło z gruzów i wiedzieć, że nie przez jego lekkomyślność i nieopatrność spłonął cały dobytek.

Stało się inaczej. Nie zapomnisz godziny, kiedy nagle dojrzewająca w tobie prawda rozjarzyła się bolesną oczywistością. Od Wisły umilkły działa niemieckie. Przestały naszczekiwać karabiny maszynowe. Cofał się oddział piechoty, znużony, byle jak kroczący. Nie było nic patetycznego, nic niezwykłego w tej ciszy po kilku dniach artyleryjskiego grzmotu i w tych oliwkowo-rdzawych postaciach. Ale kiedy oddział już dawno stopił się z sosnowym zagajnikiem i cisza trwała dalej, nagle poczęły zawzięcie ujadać psy. Za płotem leśniczówki ktoś opędzał się od ich wrzasku. Wyszedłem. Dwóch żołnierzy zapóźnionych szło bez karabinów, bez pasów, boso. Pytali o tamten oddział, co już przeciągnął. Spieszyli się z jedzeniem, nie śmieli wejść do leśniczówki. Od psów, tam za płotem, opędzali się gałęzią. Wstydu i goryczy spotkania nie odtworzysz już w sobie. Nie wielkie myśli, nie wieści ponure i bohaterskie, nie zniszczenie materialne, tylko tych dwóch bosych obrońców mocarstwowej Rzeczypospolitej, ale wiernych, bez broni i bez rozkazu krocącego przy nich.

Chcieliśmy być daleko od romantycznych improwizacji, od łatania braków nadziejami na cuda, od porywań się z motyką na słońce, od pocieszania się na boku, po klęsce, swoimi małymi racjami, małymi słusznościami i pociechami. Była w nas rzeczowość i wia-

ra, że zadania wojenne mogą być traktowane bez sztucznych osłon sentymentalnych, a chorobą jest brak poczucia miary i poczucia rzeczywistości, chorobą, za którą wszystko, co wymierne i niesłusznie w rachubach pominięte, mści się okrutnie. A tymczasem zamiast dojrzałości i przygotowania – odwieczna polska łatanina, improwizacja, bałagan. Zamiast rozpoznania przeciwnika, przymierzenia go do sił naszych – straszliwa fanfaronada, błaga, kołtuńskie, niegodne ludzi dojrzałych otępienie, zablagowanie się po ostatni nerw. Oficerowie ze swoimi oddziałami stojący na granicach otrzymywali na odprawach mapy przygranicznych odcinków niemieckich wraz z objaśnieniem, któredy zależnie od oporu przeciwnika pójdzie własne uderzenie. A później w odwrocie zrywało się ze szkół mapy Polski, by mniej więcej się zorientować, gdzie się znalazło w rozsypce. Zamiast drogi historii, znów jedna więcej próba wykupienia się w dzieje przez bohaterstwa zupełnie niesamowite, wprost nadludzkie, ale bohaterstwa, które nie powinny mieć miejsca w ogóle, gdyby rządziło nami przewidywanie i przygotowanie.

Obrona Warszawy. W bohaterstwie tej obrony było jednak coś niedorzecznego, śmiesznie napisać – niepotrzebnego. Wraz z podziwem powstawał protest. Łaskawe, pochwalne słowa cudzoziemskie, słowa, jakie się przesyła stojącym na straconych placówkach, trwającym z rozpaczą, która i tak zostanie przełamana, słowa, telegramy burmistrzów, podziwy ściekające z głośników drażniły, zamiast pobudzać. Znów podziwiają nas za jakąś Somosierrę, znów naszym udziałem pobłażliwa pochwała udzielana lekkomyślnym i upartym, znów ostatni i beznadziejny poryw ma odkupić nieudolność i błędy całości. Myśleliśmy, że jesteśmy zdolni do wysiłku równomiernego, że nie musimy szaleństwem i rozpaczą wyrównywać szale. I tych uczuć niech w sobie nikt nie zakłamuje w tygodnie rozmyślań, niech rany wywołane tym zawodem nie pokrywają się plasterkami pozornych pocieszeń. Nie wiemy, jak się wojna potoczy dalej. Lecz pewni jesteśmy jednego. Historia tylko raz daje swoje nauki, nie powtarza przestroż, nie zwykła powracać do głuchych na jej ostrzeżenia. Przez długą niewolę udzieliła nam nauki. Dała czas niepodległości, by ta nauka obrodziła, by stały się z niej skutki obowiązujące odtąd nasz naród, i na cóż to wszystko? Czy przystanie jeszcze nad nami po tej próbie, czy zechce drobne nasze racje wciągnąć na przeciwwagę potwornych błędów?



Tej jesieni modlono się w Polsce. Modlono się żarliwie, kościoły nasycone były uniesieniem i nadzieją. Niezliczone usta wzywają sprawiedliwości i wierzą w sprawiedliwość. Przepowiednie obiegają kraj cały, powtarzane tak, by zastąpiły udręczenie i ból rzeczywisty, by wzbudziły pewność, że boskie instancje nie pozwolą trwać krzywdzie i hańbie rozpostartej na gruzach naszej ojczyzny. To przelatuje przepowiednia św. Andrzeja Boboli o stu dniach niewoli, tak rozpowszechniona, że władze niemieckie miały się nią zainteresować i wywiadywać, gdzie jest zapisana. To znów na obrazach Matki Boskiej pojawiają się na dłoniach cyfry, nie dające się zmyć: rzymska dwunastka, co naturalnie oznacza grudzień, krwawy opłatek wyzwolenia i walki. Nawet audycje radiowe, mało kto ich przecież słucha, słuchają przeważnie ludzie prości, mają posmak mistyczny: pełne są zapowiedzi, terminów, krwawego opłatka, czerwonej Wielkanocy. Siła nadziei ludzkiej, wiara samej tylko nadziei w obraz przez nią stwarzany, jest niesamowita. Nadzieja chwyta się tych terminów, niepomna, że historia nie ma zwyczaju dokonywać zwrotów i decyzji na dniach już same przez się ważnych i uświęconych, ale sama dopiero dni swoje wybiera i uświęca ważnością, i podnosi ku wyżynie trwałej pamięci.

W tych modlitwach, nadziejach, przepowiedniach jest jakaś wzniosła nieużyteczność, pomyłka jest, przed którą nigdy nie cofną się ludzie dotknięci nieszczęściem. Bóg istnieje, ale Bóg nie interweniuje w historii bezpośrednio, jak pragnęliby tego ludzie. Wiara w Opatrzność, która nadaje historii bieg i cel, a w odpowiedniej chwili nagle kieruje tym biegiem, jest patetycznym złudzeniem. Historia jest wyłącznie tworem ludzi i składa się z przypadków i sił, z uderzeń nieprzewidzianych i nagłych zatok spokoju, tam gdzie jeszcze wczoraj huczał wir. Planu bezpośredniego, realizującego się na oczach ludzi przeżywających dany czas, absolutnie nie znajdziesz albo też, ściślej patrząc, plan taki jest dotwarzany, dorzucany do chaotycznej rzeczywistości przez głowy lub narody, którym się powiodło. Powiada się wówczas o zadaniu, misji, posłannictwie. Na pewno dziennikarze litewscy witający powrót Wilna szumnie pletli o Opatrzności, wyrównującej krzywdę, i na pewno chwalili sprawiedliwość, wynagradzającą cierpliwych. Tak samo na pewno słowaccy pofinte-

ligenci wychwalali przezorność i mądrość swoich przywódców i podobną opiekę Opatrzności, za sprawą opasłego proboszcza i Adolfa w sobie jedynej czuwającej nad Jaworzyną i Głodówką.

Nie znaczy to, ażeby Boga w historii zupełnie nie było. Jego udział wygląda inaczej, pozostawia działalności ludzkiej więcej pola i swobody, ale zarazem więcej trudu i odpowiedzialności. Bóg jest stwórcą praw, przymiotów i talentów. Znaczy to, że Bóg nadał rzeczywistości prawa egzystujące bez względu na to, jak ludzie umieją je odczytać i jak umieją za nimi podążyć. Zarówno w historii, jak w każdej sferze rzeczywistości. Bóg dał ludziom i narodom talenty i przymioty, a rzeczywistości, nadając wszystkim narodom potencjalną możliwość rozwijania tych samych spierających się ze sobą przymiotów, nadał przez ten sam fakt takie prawa, że ten w niej wygrywa i zwycięża w zapasach historii, kto nie zaniedbał przymiotów i talentów. Kto je rozwinął do granic najwyższych, kto nie uląkł się konsekwencji. Opowieść o zakopanych i zmarnowanych talentach jest przede wszystkim przypowieścią historyczną i tłumaczy wzloty i upadki narodów.

W jaki sposób łączy się to i zazębia, że Bóg daje przymioty i właściwości, i Bóg poprzez prawa historii karze za ich niewyzyskanie? Oto odwaga, pracowitość, sztuka poprzestawania na małym, przezorność, są to nakazy i przymioty zaszczerpione w dusze zbiorowe i szczególnie owocne w zastosowaniu historycznym. Nie tylko one – podaję przykłady jedynie. Można ich nie krzewić i można je pomijać, można trwać w lenistwie i można się okłamywać. Bóg nie przeszkadza. Bogu wystarczy nieomylność, że za pominięcie talentów zemści się rzeczywistość, której Bóg zaszczerpił prawa, czyli wymagania tych przymiotów. Historia oddana jest samodzielności ludzkiej, albowiem panuje w niej niezmiennność praw ponad epokami, ponad pokoleniami gruntująca się w każdym czasie. Nie ostaje się i nie wygrywa, kto do ostateczności, do krwawego wysilenia nie wyzyskuje przymiotów zbiorowych wlnych w dusze.

Wygrywa zawsze silniejszy, odważniejszy, bardziej wytrwały, bardziej przemyślny w doborze środków zwycięstwa, lepiej w czas pokoju umiejący utwierdzić cnoty, których zażąda walka. Tylko w tym sensie historia jest sprawiedliwa, ale ta sprawiedliwość nie ma nic wspólnego ze sprawiedliwością moralną. Cnoty historyczne są dalekie od wartości etycznych, cnotą historyczną jest bezwzględność, podstęp, chytryść, wyzyskanie siły nad słabszym; są cnoty historycz-

ne, które pokrywają się z wartościami moralnymi, jak poświęcenie, ofiarność, równie ważne w obydwu zakresach, ale zasadniczo mamy tutaj dwie całkowicie odrębne dziedziny ocen i skuteczności. I dlatego jest sentymentalnym złudzeniem marzyć w historii o sprawiedliwości czysto moralnej, marzyć o Opatrzności, nagradzającej samą słusność, nie popartą siłą historyczną.

Istnieje człowiek moralny i istnieje człowiek historyczny. Człowiek moralny egzystujący w nas umie odróżnić, na czym polega zło i dobro, ma świadomość nakładającą granice zła; potyka się, zawodzi, kłamie sobie, lecz zasadniczo wie. Człowiekiem historycznym rządzi jedynie skuteczność i celowość bez względu na wartościowanie moralne środków wprowadzonych dla osiągnięcia celu. Historia jest amoralna, albowiem jest absolutnie pragmatyczna i zna tylko prawdy przemijalne, zbudowane na sile, narzucającej dogodną jej interpretację. Oddana całkowicie działalności ludzkiej, i to takiej jej formie, w której padają wszelkie ograniczenia moralne, oddana samodzielnosci ludzkiej, tym samym powierzona jest bezwzględności i złu. Imperializm, rozrost bezwzględny, nie jest jakimś specjalnym i czasami jedynie pojawiającym się zjawiskiem historycznym, lecz tworzy samo jądro procesu dziejowego – zawsze to samo. Jedynie różnica siły, która może poprzeć ten imperializm najmniejszego nawet narodka, sprawia, że wydaje się on czymś innym, niż jest w istocie: żądzą wyższości, słusności i panowania za każdą cenę. Zakres może być i bywa węższy, istota zjawiska jest niezmienna.

I dlatego modlitwa o interwencję Boga w historii jest złudna. Więc powiesz, że nie ma nic oprócz ślepej gry sił, że człowiek moralny jest w dziejach anachronizmem, że nic nie powstało ze słusności moralnej, z czystości uzasadnień i idei? „Na tej ziemi nigdzie ideałów nie ma, są tylko one w sercu naszym, jako przecucia, i w niebie jako rzeczywistość, ludzkie zaś życie oddane analizie potu i krwi” (Krasiński). W to wierzę i to widzę. Istnieje wszakże pewne subtelne przejście pomiędzy siłą a słusnością, które czyni, że proces historyczny ukrytą swoją stroną jednak dotyka wymagań człowieka moralnego. Między siłą a słusnością jest jednak tajemny związek moralny, który sfałszowany przez siłę, zakryty przez nią przed oczyma tych, którzy dają swoją krew i ofiarę, jednak wyziera w końcu, jak złamana i źle złożona kość.

Siła zwyciężająca nigdy nie wystarczy sobie sama. Zawsze przybiera się w pozory moralne. Słuszność i siła przyciągają się wzajemnie, chociaż są kruszcami przeciwnego pochodzenia. Słuszność wypala człowiek moralny, siłę kuje człowiek historyczny. Siła i słuszność stają na dwóch biegunach przeciwnych, a jednak ku sobie dążą. Jak siła szuka maski słuszności, tak słuszność pragnie się wesprzeć o kościec siły. Słuszność historyczna jest hołdem przez siłę oddawanym prawdzie. A słuszność, która by w ogóle nie umiała odwołać się do siły, nie jest żadną słusznością. W przestrzeni historycznej nie ma miejsca, gdzie by siła i słuszność, zrównoważone w swoim wzajemnym udziale, złożyć się mogły na prawdę zupełną i obowiązującą wszystkich uczestników procesu historycznego. Walczący prawdą i walczący tylko siłą schodzą się w jednym przekonaniu, że walczą w imię obrażonej słuszności. I dlatego historia jest tragiczna, dlatego nie istnieje w niej ani postęp, ani oczyszczenie, ponieważ każdy jej akt najdrobniejszy dokonuje się jako zwarecie tragiczne dwóch lub więcej słuszności. A jednak, jak w tragedii, któraś słuszność paść musi. Gdy zapada kurtyna zdarzeń, nie mogą wszystkie mieć racji.

W tym przyciąganiu słuszności przez siłę jest wszakże pewna proporcja prawdy, którą jeszcze można nagiąć do bezwzględnej służby człowiekowi historycznemu. Tę proporcję prawdy czujemy mocno wszyscy, uchwyceni w bieg zdarzeń. Dla niej jedynie mogą być słuszne modlitwy i wiara człowieka moralnego. Wierzę głęboko, że tę proporcję prawdy, którą może jeszcze siła wziąć na swoją służbę, Niemcy przekroczyli wobec nas przede wszystkim w przygotowaniu psychologicznym tej wojny. Haniebnie ją przekraczają w każdym dniu okupacji – obelgą wobec naszego narodu, głupotą swoich uprawnień historycznych, bestialstwem myślowym planu, jaki realizuje się w oczach naszych, mając z tych ziem uczynić białą kolonię.

Nie czynią tego Niemcy pierwszy raz i nie tylko wobec nas tę zależność przekraczają. Mierzac według sprawiedliwości, należyj nawet wrogowi, wczuwając się w psychikę tego narodu ofiarnego, nawet dzisiaj nie jestem w stanie napisać inaczej, jak narodu wielkiego, trudno się dziwić, że nie rozumieją powodów swojej klęski poprzedniej. W postępowaniach własnych nie potrafią dojrzeć winy i nie sądzą, by działała w tym jedynie ślepotą moralną. Przyczyny wydają się bardziej skomplikowane – nie widzą winy, albowiem ze stanowiska człowieka historycznego uczynili wszystko, co naród jest zdolny

uczynić i ofiarować, a jednak przegrali. Teraz postawili na szalę ofiarę i wyrzeczenie jeszcze większe, i jakaż tragiczna ironia, że za większą ofiarę swoją płacić muszą przed samymi sobą, nie wiedząc tego, jeśli o przeciętną masę narodu chodzi, większą niepomrotnie ceną kłamstwa, dorabianej sztucznie słuszności. Wymyślają okrażenie, cios w plecy, zawsze jakiś powód zewnętrzny, mechaniczny, wyzuty z ich odpowiedzialności własnej. Cóż wymyślą, jeżeli ta próba ich zawiedzie, gdzież wyznajdą winowajcę?

Tylko tym wątlm strumyczkiem spływa w dzieje prawda moralna, tą szparą wcieka, która się rozwiera pomiędzy siłą spragnioną prawa moralnego a prawem samym. Tę jedyną widzę możliwość klęski Niemiec, lecz skąd dzisiaj wiedzieć, czy zdołają się w tę szczelinę wcisnąć takie wypadki historyczne już tej wojny, że ją rozsadzają, że samemu narodowi niemieckiemu ukażą, jak jego prawda rzekoma okrażonych, pokrajanych i pokrzywdzonych nie przystawała zupełnie do jego siły. Jak wszystko było złudzeniem siły rozpętanej, dobierającej sobie słuszności z dnia na dzień, wedle okoliczności. Baranie przyjęcie przez Niemców nagłej zgody z Rosją nie budzi wiele nadziei, by łatwo do tego rozsadzenia dojść mogło. Boże, czemuż się dziwić, że ci, którzy mogą, którym jest dana prosta wiara, modlą się i proszą Opatrzności. Gdzie wylądujemy, kto przewidzi drogę po wodach jeszcze nie istniejących. Każda wojna stwarza dopiero swój ocean i jakżeż się dziwić, że rybacy szukają brzegów i wierzą, że czuwa ten, który brzegi zna.



W naturze ludzkiej w przedziwny sposób kojarzą się i nie wykluczają dwie, zdawałoby się najbardziej sprzeczne, właściwości: człowiek jest plastyczny i człowiek jest niezmienny. Człowiek posiada zdumiewającą siłę nagięcia się i przystosowania i człowiek w okolicznościach, które powinny przeorać go do głębi, okazuje się taki sam, niezmienny w podstawach i znamionach swojego charakteru. Dziwność psychologiczna wojny na tym polega, że te dwie dążności wpływają na samą powierzchnię człowieka i stają się widoczne jak nigdy w czasie pokoju.

Oto człowiek przywykły do określonego poziomu życia i zajęć, zdawałoby się utrwalony w swoich nawyknieniach, w pozycji społecznej i kulturalnej, człowiek, z którym w czasie pokoju tak te wymagania i obyczaje się zrosły, że zdają się tworzyć jego drugą naturę, ten człowiek zostaje nagle i brutalnie wyważony ze swej powłoki, rzucony w inną rzeczywistość, nie jego, nie tę, nad którą jedynie panować umiał. Musi radzić sobie postawiony w obliczu najpierwszych i najbardziej pierwotnych potrzeb: w obliczu głodu, trwogi, troski o całość swego ciała, śmierci. Wojna jest niemowlęctwem ludzi dojrzałych, ich powtórna nagością, oddaniem się na pastwę przypadku i grozy. To przeżycie w wojnach poprzednich zapisywało się jedynie w duszy żołnierza frontowego. Na tyłach, w miastach i okolicach, do których nie dotarła wojna, można było przebyć niejedną kampanię, a o tym przeżyciu nie nabrać wyobrażenia. Nigdy zaś chyba ten rozdźwięk nie był większy jak w wojnie poprzedniej – ponure poświęcenie okopów i spokój tyłów. Tutaj wreszcie tryska źródło niechęci i zażenowanego milczenia, jakim żołnierz frontowy zawsze, tamtej wojny szczególnie, darzył frazes patriotyczny, napotykanym u ludzi całkiem nieświadomych, jak wygląda rzeczywistość tego frazesu.

Ucieczka całych milionów, paniczny ruch, jakiego żadna siła ludzka nie zdołałaby powstrzymać, straszliwy udział lotnictwa, którego moc poznało każde nieledwie osiedle polskie, sprawił, że to przeżycie plastyczności stało się własnością powszechną. Wszyscy zeszliśmy do elementów naszego bytowania, z wszystkich w kilku dniach zdarte zostały naloty pokoju. Ujrzelśmy, że człowiek jest jak piłka gumowa, z której los może wszystką prężność wycisnąć, a ona wytrzyma, powróci kiedyś do stanu pierwotnego, byle jej nie naciąć śmiertelnie.

Poznaliśmy tę najgorszą chyba broń wojny współczesnej: władzę przypadku. Równość wobec kosi, przypadkowe, kapryśne naznaczanie wybranych, pole otwarte dla wyobraźni i lęku, pole tak szerokie, że iluż to zabłądziło w jego przestrzeniach, popadając w szaleństwo, uciekając w samobójstwo. Poznali wszyscy tę bezbronność wobec przypadku, przetrwali prawie wszyscy. Nie miejmy w złej pamięci tych, co mocy przypadku nie zdołali przełamać w sobie i sami odeszli w śmierć, sami, nie czekając na jej wybór, siebie wybrali.

Przeżycie, za które dawniej trzeba było płacić czynnym udziałem w rzeczach wojny, stało się własnością ogólną. Znikł przedział na

front poznający rzeczywistą naturę ludzką i resztę, opchaną, obżartą do obrzydliwości frazesem, hucznym słowem, dziennikarskim bohaterstwem. Jak gdyby Pan rzeczywistości, Sędzia prawdy i realizmu, takiej właśnie nauki pragnął udzielić narodowi, który jak żaden inny napchany był frazesem i nie znał wymiarów prawdy.

Ale człowiek jest niezmienny. I pora próby, obnażającej nasze dusze z pozorów i osłon codzienności, ukazuje właściwe treści dusz. To przeżycie drugie, to świadectwo zasadniczej niezmienności człowieka, chociaż cała jego egzystencja została przygięta i nadłamana, jest czymś bardziej przerażającym aniżeli plastyczność ludzka. Rdzenie dusz ludzkich nie dają się skruszyć żadną przemocą. Obnaża się tchórzostwo i obnaża się wzniosłość. Obnaża się bohaterstwo i jadowitym zaciekiem wypływa małość. Ujawnia się zdolność pomocy i zwierzęcy egoizm. Wszystko, co przeciwne w naturze ludzkiej, najdalsze sobie i niewidzialne w spokojnym bytowaniu, wystrzela jak korzenie, które by się nagle stały konarami i miały dawać owoc. Gdy to widowisko pamiętać, w jego całej lichocie i rzadkiej czystości, zbiera lęk przed niepoprawnością człowieka. Zdaje się istnieć jakaś uprzednio dana, nim człowiek w ogóle stał się zdolny siebie poznać, determinacja jego natury i okazuje się zarazem, że najcięższe doświadczenie, jakie zdolny jest przyrzadzić człowiek zbiorowy, nic nie znaczy w zetknięciu z jego fundamentem psychicznym. Kto go zakładał? Powiesz, że podświadomość, że nieznane następstwo dziedziczenia, nic te słowa nie znaczą, przesuwają jedynie tajemnicę z miejsca na miejsce. Natura ludzka jest jak woda, która przechodząc przez sito zdaje się tracić właściwą sobie konsystencję, rozproszona w krople, lecz ledwo przeszkodę minie, staje się natychmiast sobą. Ta stałość w pozornej plastyczności mówi, że daremne są nadzieje, by najcięższe doświadczenie zbiorowe mogło wiele przesunąć w wewnętrznych proporcjach człowieka. Jest w tym smutek i inna, jeszcze głębsza, bezużyteczność moralna historii. Kiedy zaczną pisać, że wyszliśmy oczyszczeni i poprawieni, kłamstwo. Kiedy z koturnu jękną, że przeorane dusze dadzą inny plon, kłamstwo. Kiedy powołają się głosem patetycznym, że byli uczestnikami, kłamstwo. Widzieli tylko, nic więcej.

U początku tej wojny znajduje się po stronie polskiej dziwna, dzisiaj zupełnie niepojęta sprzeczność. Z jednej strony przygotowano propagandowo naród, że wojna dzisiejsza w niczym nie będzie podobna do wojen poprzednich, że nie należy się spodziewać zachowania obyczajów dyplomatycznych, wypowiedzenia wojny, szanowania ludności cywilnej, ograniczenia środków bojowych. Ileż to potworności i psychozy strachu wywołano opowiadaniem o wojnie gazowej, jej powszechności, która miała zagrozić każdej spizarni i każdemu workowi mąki. Z drugiej strony rząd zachowywał się tak, jak gdyby to całe przygotowanie było jedynie baśnią, a przeciwnik miał zachować wszelkie reguły gry, nie przeszkadzać mobilizacji, przywoicie zapowiedzieć, o której godzinie i gdzie ma zamiar zacząć strzelać. Mobilizacja została zarządzona w chwili całkiem ostatniej, jakby przeciwnik raczył czekać, aż się odbędzie w spokoju, i jakby nie było innych sposobów tajemnego powołania żołnierzy pod broń.

Ta sprzeczność musi być położona po naszej stronie jako jedna z najpierwszych przyczyn klęski. Pamiętam tego chłopca spod Tarnobrzega, który na widok przeciągających pierwszych oddziałów niemieckich tłumaczył mi rozgoryczony: wszystko przez to, panie, że ich Hitler już od wiosny trzymał w koszarach, a nasz rząd żałował pieniędzy, ażeby parę tygodni wcześniej zabrać chłopów do wojska. Upraszczał, lecz tak samo odczuwał tę niepodobną do wyjaśnienia sprzeczność. Nie jestem w stanie przypuścić, że działała tutaj jedynie sama lekkomyślność i zadufany optymizm, że wystarczy w swoim radio i w swojej prasie wygrać przed swoim słuchaczem przez siebie inscenizowaną wojnę słowną, zowiąc ją szumnie wojną nerwów, by tym samym wygrać wojnę prawdziwą. Bo gdyby tak było, byłaby to zbrodnia, a tej nawet najgłupszemu rządowi nie wolno insynuować. Więc cóż?

Nie wiem, nie umiem odpowiedzieć. Musiały działać jakieś niedostępne nam dotąd powody. Być może, że nie chciano radykalnymi posunięciami ze strony Polski drażnić złego, nie chciano mu dawać do ręki pozornych argumentów zagrożenia i niebezpieczeństwa, na które on przecież czyhał. Chyba tylko to jedno – nie drażnić. Zresztą, wiemy to dzisiaj, w którykolwiek tydzień wcześniej zostałaaby zarządzona mobilizacja w Polsce, odpowiedź niemiecka byłaby natychmiast taka sama, jak ta, co nastąpiła pierwszego września. Ta odpowiedź już od miesięcy czekała nad naszą granicą.

Lecz w tej sprzeczności mieściła się jednak ukryta tęsknota, ażeby przewidywane niebezpieczeństwa jednak nie okazały się prawdą. Mówiono o zagrożeniu totalnym, o walce o samo istnienie narodu, ale właściwie, w zdolności przeżycia i przejścia się tymi zapowiedziami, były to jedynie zwroty retoryczne. Jedni poeci wierzyli w swoje ponure groźby. Politycy nasi i ministrowie, owszem, opowiadali o gotowości, przecinali wstęgi, przyjmowali czeki, odbierali karabiny maszynowe, ale w tym miejscu nie lękam się insynuacji i gotów ją jestem udowodnić, nie wierzyli sami w złe duchy wywołane przez siebie.

Optymizm szedł z góry i na górze był nieunikniony, wywołany sytuacją społeczną polskiej góry w ciągu dwudziestolecia. Na myśli mam tę część inteligencji polskiej, która na stopniu najniższym zaczyna się od starostów, naczelników wydziałów, kierowników działów w fabrykach i przedsiębiorstwach, wyższych oficerów, prezydentów miast. Słowem, wyższa biurokracja, rozgałęziona obficie, rozrośnięta we wszelkich dziedzinach życia polskiego na skutek etatyzmu i interwencji państwowej. Nie mam naturalnie na oku roztrząsań ekonomiczno-socjalnych, do tych nie posiadam żadnej kompetencji, chciałbym jedynie odtworzyć utajone pobudki psychologiczne, władające tą warstwą, pobudki, które ją naznaczyły tak karygodną lekkomyślnością i niechęcią widzenia przykrej rzeczywistości.

Nie było w społeczeństwie naszym warstwy, która by miała życie tak wygodne i jak na polską biedę tak dostatnie. W nadmiernym dostatku, zupełnie nieproporcjonalnym do przeciętnej życia w kraju, widzieć należy pierwszą przyczynę lekkomyślności tej warstwy. A dbano o siebie dobrze! Zmiany uposażeń – wiedzieliśmy to dobrze, nie zdając sobie sprawy ze skutków psychologicznych – zmierzały do tego, by jak najhojniej uposażyć tę właśnie warstwę, by przez odpowiednie dodatki funkcyjne, przez fundusze dyspozycyjne, przez ciche kumulowanie posad, zarobki wywindować do poziomów, jak na polskie stosunki i mierne bogactwo ogółu, bardzo wygórowanych, stających na granicy luksusu. A dyrektor kopalni, uderzony pytaniem w swoją pensję, zawsze miał pod ręką odpowiedź, że tych nędznych kilkanaście tysięcy, jakie on pobiera, podzielone między załogę kopalni bardzo niewiele zaważy na budżecie poszczególnego górnika, a skojarzone w jednym ręku jakież wydaje piękne wyniki

wnętrz nowoczesnych, dzielnic willowych, kapitału wywiezionego. Tym jednym rzeczywiście dorównywaliśmy tzw. Europie: zachciankami hedonistycznymi górnej garści, przybranymi w maskę potrzeby.

Ci ludzie wbrew wszystkiemu, co wokół Polski się działo, musieli być optymistami. Ci ludzie byli zdeterminowani własnym położeniem socjalnym, a trzeba wyjątkowej siły woli i rozumu, by wyłamać się spod sugestii będących udziałem całej warstwy. Tym ludziom było w Polsce dobrze, bardzo dobrze, i własny dobrobyt przesłonił im rzeczywistość polską i otaczającą Polskę. I ci ludzie najhaniebniej tchórzyli i najszybciej uciekali, albowiem w tchórzostwie i ucieczce biegł przed nimi miraż przepełnionego żłobu i ukryta nadzieja, że ten żłób kiedyś powróci, byle uciec daleko od niebezpieczeństwa. Dostatek ich obezwładnił przede wszystkim dlatego, ponieważ skojarzył się z zupełną nieodpowiedzialnością tej warstwy. Stłumione zostały i zahukane instancje społeczne, a nie było w Polsce żadnej instancji państwowej, przed którą ludzie niedorośli do swoich stanowisk musieliby odpowiadać. Kto się okazał tępakiem i jołopem na jednym miejscu, przenoszono go na miejsce równorzędne, jak gdyby nowe siedzenie biurowe mogło go natchnąć niespodziewanymi talentami. Starosta skompromitowany w jednym powiecie rehabilitował się na skórze podwładnych o dwa powiaty dalej.

Opowiada się, że demokracja uczy kultu niekompetencji. Polskie doświadczenie okazuje, że kult niekompetencji może się narodzić w całkiem odmiennych warunkach. Błędne koło. Na niczym nie trzeba się było znać porządnie, by obejmować miejsca kierownicze, by dawać dyrektywy. Rzeczywistość jest powolna i nie od razu się mści. I zamiast kary za kult niekompetencji przychodził dostatek, wygodnictwo, swoboda obyczajów, zmienianie żon za wzrostem rang. Cóż dziwnego, że optymizm uderzał do głowy wraz z poczuciem wielkości – własna kariera najlepiej działa na idee i sądy o rzeczywistości.

Skoro rekrutacja warstwy kierowniczej została ograniczona tylko do tzw. obozu legionowego, skoro wybicie się państwowe było spójne z tą przynależnością, powstają dwie możliwości: albo ten obóz składał się z notorycznych geniuszów, a w plutonach legionowych przewidziane były już i przygotowane wszystkie funkcje wielkiego państwa, albo po prostu nie święci garnki lepią i jakoś to będzie. Dwie bardzo polskie zasady. No i nie święci zlepili polski garnek, bardzo nie święci, aż rozleciał się od pierwszego uderzenia.



Na niewiele miesięcy przed wojną ukazała się *Sztafeta* Melchiora Wańkowicza. Miała być rekapitulacją, historią, ukazaniem tego, cośmy dokonali przez lat dwadzieścia. Otwierasz ją teraz i czytasz – jak księgę proroctw. Od pierwszej strony, od tych fachowo-procentowych tablic zniszczenia, od zdjęć miast leżących w gruzach, od popalonych dworców, od mostów zapadłych do dna rzek, od komińców otulonych kłakiem strzechy, mających się zwać mieszkaniem polskiego chłopca, startujemy na nowo. Od tego samego dna nędzy, egoizmu, rozbicia społeczeństwa na atomy rozpoczyna się trasa, jaką uważaliśmy za przebytą. To jest los ojczyzny twojej i zadanie lat twoich. Od fundamentów wznosić na nowo, co parę lat przetrzącać karty tej księgi i sprawdzać, czy się nie opóźnia sztafeta twojej generacji. Musi być szybsza. Gdy znów po latach dwudziestu nastanie chwila spoczynku i spojrzenia za siebie, macie być dalej, dalej o całą niedopuszczalność przeżytej klęski. Zważyć czy zwolnić biegu nie wolno. Od powstańców Kościuszki i legionistów Dąbrowskiego każda nowa fala rówieśników polskich rozpoczynała ten bieg, żadna nie ujrzała celu, więc cóż, że fala ostatnia, minąwszy metę, rozpięchła się, osłabła, uznała lekkomyślnie, że bieg przebyty na zawsze? Czymżeż jeden nieudany pomiot narodu wobec jego wiekuistości?

Jest piękny obrazek Orzeszkowej o młodzieńcach greckich, co „z rąk do rąk” – to jego tytuł – w noc letnią rzucają zapaloną pochodnię, aż ta nie uchwycona niezgrabną dłonią upada na ziemię. „Taka była o szarych godzinach letnich ulubiona gra młodzieży greckiej, taka też odbywa się w szarych mrokach świata nieustannie, wszędzie, dookoła nas i w oddali, tylko, otoczeni przez nią, widzieć jej nie możemy i, udział w niej biorąc, nie myślimy o tym, co czynimy”. Pochodnię, co na chwilę upadnie z lekkomyślnych rąk, zapalamy od pożarów tej wojny, od zgłiszcz Warszawy i wiążemy koło trwania narodu.



Zamknięte wrześnieową klęską dwudziestolecie nie posiadało żadnej reprezentacyjnej warstwy społecznej, z której ideałów i potrzeb można by wyprowadzić cechy tych lat. Nie było ani chłopskie, ani mieszczańskie, ani robotnicze, ani szlacheckie. Ten charakter przejścia, pauzy pomiędzy wojnami, najmocniej staje się widoczny, kiedy od tej strony o nim pomyśleć. Naturalnie w sporach politycznych nazywano go rozmaicie, gwoli pogńębienia przeciwnika, i z tej przyczyny najczęściej przypadała mu nazwa mieszczańskie. Ale polskie mieszczaństwo jako klasa nadająca ton to coś równie hybrydycznego i nieokreślonego jak cały ten okres. Tylko przy wielkiej samowoli poznawczo-politycznej można mówić o nim jako o tworze reprezentatywnym. Nie było szlacheckie, nie pozwolono, by stało się chłopskie, w kraju rolniczym i biednym nie mogło być robotnicze.

Jedyną warstwą reprezentacyjną, posiadającą, szczególnie od maja 1926 roku, jakąś ciągłość, wydaje się teraz biurokracja. Nie tylko jej śmietanka, lecz biurokracja jako kasta – od woźnych i gońców po ministrów i premierów. Pęczniejąca władza obozu tak dalekiego od określonej rekrutacji społecznej, jak obóz legionowy, dokonywała się jedynie przez rozrost i podporządkowanie biurokracji. Biurokracja była jedyną dziedziną życia polskiego opanowaną całkowicie przez system pomajowy. Wobec rozrostu ingerencji państwa, wobec powszechnego oglądania się na rządzących (niech rząd na to da pieniądze, niech rząd o to się martwi – tak na każdym kroku), to oparcie wystarczyło na czas pokoju. Biurokracja zaś skoro raz dostrzegła, że jest podporą główną, kazała sobie zapłacić, och, nie za drogo, nie kosztem tych, którzy się nią posługiwali. Była potulna, nie czyniła trudności. Zapłacić sobie kazała samodzielnością swoją i niezależnością od społeczeństwa, a ponieważ było to na rękę tak jej kierownikom, jak jej samej, zapłata przyszła bez oporów. Niewiele zażądała na oko: pozwólcie mi rządzić samej, ponad opinią, ja potrafię. Prosimy bardzo, właśnie tego nam potrzeba. Ramienia władzy, które byłoby samodzielne, a nie szukało tej samodzielności na skórze naszej, tylko na grzbiecie społeczeństwa.

Ale biurokracja właśnie do samodzielności nie ma prawa dążyć. Jest przecież tylko *regulatorem*, wypadkową działań społecznych, stanowi funkcję społeczną, ale nie organ samodzielny. Jej samoistność jest równie trudna do pomyślenia co samodzielność hamulca pozbawionego kół. Biurokracja pragnęła jednakże jeszcze

więcej. Dzięki temu, że system rządowy opierał się o nią jedynie, stała się zazdrosną o swoją wyłączność i zgoliła kastową. Sprzyjały temu fatalne nawyczki psychologiczne, istniejące w naszym charakterze zbiorowym. Cień władzy padający na głowę Polaka od razu ją zawraca. We władzy imponuje mu nie to, że jest ona sztuką kierowania, lepszego rozrządzania warunkami życia, ale to, że kierujący zawsze ma prawo siedzieć wyżej. Niemcy tak samo ulegają, może nawet mocniej jeszcze, urokowi władania, lecz w zjawisku władzy co innego ich pociąga: przez władzę przeciętny Niemiec wyżywa swój instynkt panowania, rządzenia, woli kruszącej przeszkody. W niemieckiej mistyce władzy jest coś automatycznego, zamieniającego jednostkę w sprawne narzędzie woli, rozkazu. W tym sensie ta mistyka wyklucza osobowość, podczas kiedy polskie odurzenie władzą polega przede wszystkim na potwierdzeniu własnej ważności. Jest coś egotycznego i zakochanego w sobie w naszym biurokratyzmie. I dlatego zapewne prostą drogą dociera się w nim do bezdusznej formalistyki, stojącej się u nas jak gdyby systemem magicznych znaków, utwierdzających ważność osoby, której udzielono prawa posługiwania się tymi znakami. Dystans, okienko, biurko, godzina przyjęć, podanie, dziennik podawczy. Mistyka, rytuał władzy, rozkosz numeru bieżącego.

Te wszystkie wypominki są dzisiaj dosyć łatwe, wystarczy je zaznaczyć, nie warto się nad nimi rozwodzić. Z tej samodzielności biurokratycznej wyniknęły skutki, które dopiero wojna odsłoniła w całym rozmiarze. Pewność siebie warstwy biurokratycznej, optymizm sprawnie płynących papierków uspiły naszą czujność. W obliczu tej pewności i urzędowej precyzji wydało się prawie wszystkim, że funkcje publiczne i państwowe biegają u nas tokiem starych, zasobnych, doskonale zagospodarowanych państw. Polska międzywojenna upodobniła się do rozklekotanego samochodu, w którym jednak siedzenie dla szofera wysłane jest safianem, a kierownicę zdobia inkrustacje. Bo w takich starych państwach istotnie wystarczy, że obywatel dobrze spełnia, co do niego należy, w warsztacie, w handlu, w szkole, wystarczy, że się uści ze swoimi usługami pieniężnymi, zażądany przez państwo, a już do spraw publicznych nie musi on zaglądać codziennie, nie musi się kłopotać, że w każdej chwili mogą przed nim stanąć żądania usług ponadnormalnych, graniczących z bohaterstwem czy kompletnym wyrzeczeniem majątkowym. Spokojny, regularny i pewny siebie bieg życia biurokratycznego jest tam

wskazówką, której sprawdzać nie trzeba. Więc i nam się wydało, że i u nas wszystko jest w porządku dobrze funkcjonującego organizmu, skoro puls urzędowy nie wykazuje przyspieszeń. Że na swoim poziomie jest armia, że dopisze broń, że nie brakuje lotnictwa, że są zapasy żywności, że są przewidzenia na wypadek niepowodzeń, że nie zawiodą koleje, ponieważ będą należycie bronione, że zabezpieczone są dzieła sztuki – słowem, że na mróz nie wyjdziemy boso.

Wyszliśmy boso i głodno. Świat papierowej fikcji przesłonił rzeczywistość. Nasza biurokracja okazała się jak student medycyny, który by z atlasu anatomicznego chciał się nauczyć swej sztuki i dziwił się, że z naciętego mięśnia u żywego człowieka tryska krew, bo w atlasie przecież nie tryskała. Przegraliśmy głównie przez brak lotnictwa. Ba, ale do wojny lotniczej biurokracja wspaniale nas przygotowała. Przepisy o obronie przeciwlotniczej, o wzajemnym stosunku organów kierowniczych, o obronie na stopniu województwa, starostwa, domu czynszowego były fantastycznie precyzyjne. Za strzałkami podlegania i podrzędności władza bez przerw i pięknie spływała od samego inspektora OPL państwa do gońca pomiędzy dozorcami. Cóż, kiedy przepis nie strzela, precyzja biurokratyczna nie jest zaporą balonową, a goniec nie ma szybkości samolotu myśliwskiego – obmyślaczom się wydało, że za magią skrupulatności biurokratycznej wszystko się przemieni wedle wymagań magii.

Ta gra biurokracji mogła się udawać przez to, że nie mogą wszyscy wtrącać się do wszystkiego i wszyscy znać się na wszystkim. Zasada kompetencji, podział pracy publicznej, wiara, że mój sąsiad kręci swoje kółko z równą sumiennością i starannością co ja swoje, są nieodzownym składnikiem życia publicznego. Któż zaś nie był u nas świadomy fatalnej przywary zbiorowego wścibstwa, partackiej wszechwiedzy, złośliwego wtrącania się i mącenia horyzontów przed ludźmi kompetentnymi. Wiedziało się doskonale, że u nas wszyscy bajecznie wiedzą, jak by postąpili na cudzym miejscu, ale na swoim każdy partoli. Mało jest społeczeństw o takiej jak nasza pewności siebie – *in partibus ignorantium*. Więc człowiek chciał ufać i spodziewał się, że zazdrość kompetencyjna i wyłączność biurokracji jest może wymierzona w tę wadę i ma ją wykorzystać.

Z całego tego kompleksu w dniach wojny wyniknęło coś bardzo tradycyjnego, w najgorszym sensie tego nazwania. U zarania wojny posiadliśmy ten sam co w powstaniach łamiący dualizm: ongiś

szlachta i chłop, dzisiaj biurokracja hermetyczna i naród rządzony. Obywatel na to ciężkie przejście został najfatalniej przygotowany. Jego rynsztunek państwowo-psychologiczny został przysposobiony na wyrost, na miarę innych organizmów. Odrącany od wpływu, w końcu uznał, że niepotrzebna już jest troska na przyszłość, myślenie publiczne, ofiarność spontaniczna. W chwili próby miały wystarczyć angielskie maniery radców ministerialnych. Tymczasem w położeniu Polski bardzo chwalebłą rzeczą jest wprowadzić olimpijski spokój biurokracji i kiedyś może się on przydać, lecz sprawą stokroć ważniejszą jest urobienie takiej psychologii państwowej, by każdemu było wiadome, że w tym miejscu Europy i wśród takich sąsiadów wszystkie dawne cnoty opinii publicznej i wspólnego czuwania nad dobrem państwa są na teraz i na długo zapewne nieskończenie potrzebniejsze.

Spontaniczność obywatelska, odpychana i zbywana rozmyślnym niezwracaniem uwagi, przemieniła się rychło w zobojętnienie. Był to ostatni, najgorszy bodaj wynik automatyzmu biurokratycznego. Psychologicznie ten mechanizm jest całkiem prosty: skoro panowie biurokraci tak wszystko wiedzą, skoro są nieomylni i w żadnej sytuacji nie potrzebują pomocy, dobrze, niech zawsze i wszędzie sami sobie radzą, niech wszędzie będą mądrzy. Czekajmy i patrzmy. I kiedy przed jednym najeźdźcą uciekały władze polskie, przed drugim kryły się w popłochu, wstyd przyznać, ale nie było u nikogo współczucia i wyrozumienia. Wśród nas, inteligentów, a cóż mówić o innych warstwach narodu! Powstawała jakaś złośliwa radość, że nareszcie do wszechwiedzących i dufnych dociera inna rzeczywistość od świata papierków. Ta złośliwość przesłaniała zrozumienie, że przez upadek tych małych ludzi rozpękają się więzadła Rzeczypospolitej. Trzeba dopiero tych miesięcy niemieckiej brutalności i obojętności na nasze żywotne interesy, by zatęsknić za własną władzą. Lecz gdyby po wojnie nic się nie miało zmienić? A jeśli naprawdę małość polska od samego szatana jest silniejsza?

Krew polskiej hołoty popłynie obficie. Tyle się nagromadza podłości, zdrady, denuncjacji, tchórzostwa, volksdeutscherów, którym tłumaczyć trzeba zwrócone do nich po niemiecku odezwy. Krwią się tylko zmażą te niskie łotrostwa. Byliśmy dotąd za łagodni wobec siebie samych i własne robactwo będzie musiało być rozdeptane. Od rachunku z Niemcami ten rachunek jest ważniejszy.



Zdanie Orzeszkowej z książki o *Patriotyzmie i kosmopolityzmie*: „Do rzędu najważniejszych przyczyn, sprowadzających antypatriotyzm, zaliczyć też wypada: oddalenie członków społeczeństwa od pełnienia funkcji i zadań publicznych, czyli pozostawienie w uśpieniu tych stron istoty ludzkiej i w zaniedbaniu tych stron ludzkiego życia, mocą których najdzielniej rozwija się pierwiastek współczucia i najwspanialszą, a zarazem najtrwalszą przyobleka postać pojęcie obowiązku”.

Rozsiedli się na swych szczeblach urzędniczych, jak ptaszki niefrasobliwe, ten niżej, tamten wyżej, i przeciwierkali całą polską rzeczywistość z wyżyn swoich szczebli.



Prosty żołnierz niemiecki, czy jest nim niezgrabny i pocziwy Bawarczyk, czy jak gdyby z lwowska zaciągający Austriak, czy rzeczowo i regulaminowo pyszny Prusak, każdy zapytany, po co przyszedł do Polski, odpowiada, że nieść porządek, ład, czystość, kulturę. Ich powołanie jest za drugich rządzić. Zawsze ta sama krzyżacka kompensacja za tatarski, nieogłędny niepokój, zawsze ta sama kultura niesiona na końcu krzyżackiego miecza podboju. Pismaki zaś napiszą, że jest to ponowne zdobycie niemieckiego Wschodu, który z rasowego i historycznego prawa będąc niemieckim, został nieogłędnie utracony przez skłócone Niemcy renesansowe. Zjednoczone szczepy niemieckie sięgają po swoje dziedzictwo.

Znamy ten język. Tak się tę mowę tłumaczy na polskie:

„Serce łomotało w piersiach zdobywcy, gdy wspominał i ogarniał we władzę ziemie widziane, powiaty przebyte, wody i ich źródłiska, poniki, potoki, strumienie, rzeki, stawy i błota, wzgórza i rozdoły, puszcze i polany, dąbrowy i poręby, pola i ugory, łąki i pastwiska, bezdroża, przesmyki, przesieki, ścieżki i drogi.

Serce łomotało w piersiach gospodarza, gdy mierzył i liczył, odkrywał i przewidywał bogactwa jawne, wpadające w oczy nawet głupca, i skarby skryte przed oczyma niedołącznych lub ciemnych – budulec surowy w lasach, żelazo i miedź, złoto i srebro, zbiorowiska soli twardej i rozpuszczonej w wodzie, drogie kamienie i drogie futra zwierząt wałęsających się w lasach, cenne ptactwo, i wyborne ryby, zapelniające stawy, jeziora, rzeki i strumienie.

Serce biło w piersiach budownika, gdy widział w olśnieniu marzeń statki pławackie na wodach, ławy na potokach, mosty na rzekach i z brzegów jezior na wyspy, tamy i jazy plecione do połowu ryb z morza, w górę rzeki na tarło ciągnących – drogi i płoty, budy i szopy, chaty i wsie, brogi i gumna, targowiska, podgrodzia, miasta, grody, zamki, kościoły i wielkie katedry, twierdze niezdobyte i porty jeszcze nie widziane u wybrzeży.

Mógł oto wyciągnąć rękę i zabrać!

Ogarnąć to wszystko!”

To nie jest o dniu dzisiejszym. To Herman Balk marzy słowami Żeromskiego. Siedem wieków niewiele znaczy.



Im więcej jest historii jeszcze żywej, jeszcze dostarczającej narodom namiętnych haseł uczuciowych, wiążących te narody w nierozkruszalne całości, tym trudniejsze są podboje. Narodom europejskim coraz więcej przybywa historii i te narody mimo to nie wchodzi w stan otępienia formalistyczno-historycznego, znamienne dla organizmów przeżartych zastarzałą i gnijącą historycznością, ale wciąż patrząc w swoją przeszłość, widzą w niej zarazem swój cel. Są rozbite, ale w jednym wspólne: każdy pragnie być sobą i każdy ma jakąś swoją misję, powołanie, każdemu się marzy, że tylko on pewne zada-

nia umie. Czy zdołają się porozumieć i zrozumieją, że ich przeszłości dadzą się pogodzić w jednym zadaniu, to rzecz niewiadoma. Dość, że na razie chcą być sobą i długa historia je naucza, że odbieranie ziemi sąsiadom nie ma wielkiego sensu i drożej na tym ciasnym kontynencie kosztuje, niż się na tym zyska.

Tymczasem tragicznym zadaniem Niemiec jest to, że muszą na tym kontynencie najpierw podbijać, nim zdołają sięgnąć w kontynenty nie nasycone w tym stopniu historią i pretensjami uczuciowymi, muszą podbijać, by do skoku zdobyć szersze miejsce lub przynajmniej do targu większy zastaw. Chcąc zdobywać, muszą sobie wytwarzać preteksty uczuciowe i etyczne. Takie preteksty w Europie przepełnionej historią zawsze bywają historyczne, oparte na jakichś tam prawach, które niegdyś były rzeczywistością. Niestety, dla Niemiec niestety, dla nas na szczęście, w ciasnocie zazębiają się i przeszkadzają sobie wzajemnie preteksty rozmaitych narodów, derywacje przeróżnych zagrodowych imperializmów, i Niemcy wszystkie słuszności naciągający na swoją stronę muszą popełniać kłamstwa. Tutaj zawsze ktoś kłamie, zabierając ziemi drugiemu, ale oni muszą kłamać najwięcej, albowiem apetyty posiadają najbardziej zachłanne. Ich pretekst ostatni, prawo zdobywcze Niemiec do wszelkich terenów podległych niegdyś osiedlaniu Niemców lub dzisiaj mieszczących część ludności pochodzenia niemieckiego, gdy to prawo ma się stać zasadą ładu zwycięskich Niemiec, wchodzi w konflikt z największą sumą słuszności i pretekstów historycznych, a przez to kłamać dzisiaj muszą najpotężniej. Dlatego posiadają cały aparat do wytwarzania słuszności doraźnej, zależnej od biegu wypadków – zowie się propagandą.

W Europie jest za wiele rozmaitej, sprzecznej przeszłości narodów, by nagle zapanowała nad nimi prawda jednego narodu. Wszyscy muszą mieć po trochu rację. A ponadto siły narodów, którymi mogłyby narzucać sobie swoje preteksty, tak się obecnie układają, że żaden naród europejski nie jest w stanie naprawdę zapanować nad drugimi i nikomu się ta rola nie marzy. I ponieważ żaden nie może, wszyscy głoszą to jako prawo moralne. Jedni Niemcy nie mogą się przyłączyć do tego koncertu. Obawiają się okrażenia, ale psychicznie okrażeni są zawsze. Przyjaźń rosyjska jest najzabawniejszą z taktycznych i oportunistycznych niemożliwości. Obydwaj partnerzy chcieliby tego samego, zapanować nad Europą w sposób antyeuropejski,

jednowładczy. Ich cele właściwie się wyłączają, a zgoda jest zgodą rabusiów, z których każdy na własną rękę pragnąłby się dostać do pancernego skarbca, i każdy siebie uważa za jego prawnego właściciela. Mury jednak okazują się nadspodziewanie silne i panowie, którzy zaczęli osobno operować, nagle zapłonęli żądzą wypożyczenia sobie narzędzi, wspólnego ostrzenia łomów. Ale gdyby się któryś dobrał do skarbca, pierwszą czynnością będzie spuszczenie łomu na czaszkę towarzysza wyprawy.



Pijaną gromadą wtargnęli do proboszcza, zabrali klucze od kościoła, a później długo, z godzinę niemal, bili w dzwony z radości. Na żadną uroczystość te dzwony tak długo nie huczały, jak na tę, obwieszczoną przez Adolfa w sobie jedyne: Polska nie istnieje, czuwają nad tym jej najmocniejsi sąsiedzi, że nie powstanie nigdy w kształcie tego dwudziestolecia. Ma być potulna, dostanie za grzeczność ochłap. Z czegoż się cieszą, czym tak straszliwie groziła im ta Polska? Marszem na Berlin, podbojem, zapanowaniem nad Europą, konkurencją w wielkiej polityce światowej, jak Żydzi? Czemu radość bucha z tych pocziwych żołnierzy? Nie rozumiem, nie wiem. Tyle tępej brutalności przemienionej w jęk dzwonów, jak na pogrzeb najbardziej uroczysty, jak na kondukt nie mający kresu. Dzwonnicy pijani z radości.

Połkniętą żabę polską jeszcze trawi ich germańska żmija. Jeszcze widać, jak żaba przeciska się pod skórą gada, a żmija wdzięczy się do żab-sąsiadek dotąd nie tkniętych. W tej mowie dzisiejszej, jest początek października, dotyka je kolejno jadownym gruczołem i pyta: prawda, że miód, prawda, że nic wam nie grozi, prawda, że się nie lękacie? A żaby dookolne posłusznie rechoczą – miód, miód.



Leniwe tchórzostwo narodów. Tępota, nawet z czysto utilitarnego stanowiska niepojęta tępota tzw. interesów bezpośrednich, tzw. neutralności, tzw. braku doraźnego zagrożenia. Dom już płonie na węglach i dachu, wiedzą, kto z pochodnią biega i mieszkańcom grozi, ale nie wyjdą ze swojej izby, powiadają, że póki ich izba nie tknięta pochodnią, nie są obowiązani wiedzieć, kto nią straszy w dzień i w noc. I czekają skuleni każdy przy swoim legowisku, i wołają, że ich bety jeszcze się nie palą, więc pożaru nie ma. A że za ścianą, a że u sąsiada? W największej interesowności, w najwyższym egoizmie narodów, będącym pono zasadą mądrości politycznej, kryje się właśnie najgroźniejsze prześlepienie, zaprzeczenie swojego interesu i zguba. Ale nie! Ciągłe przez mikroskop patrzą na przelatujące komety i mówią, iż najprecyzyjniejsze narzędzie widzenia poucza, że komety są złudzeniem.

I dlatego jedyni dotąd, którzy poczucie interesu zbiorowego Europejczyków narzucali wbrew mikroskopowym interesikom, którzy to czynią z największym własnym ryzykiem i odpowiedzialnością za maluczkie tępaków, będą po tej wojnie mieli prawo do takiego głosu politycznego, jaki już teraz sobie przepowiadają. Anglia i Francja mają prawo do przywództwa, albowiem tamci byliby się podusili z dymu i poginęli przy swoich wyrkach, a nie poszliby ratować. Bo w tchórzostwie nic się nie ryzykuje, a zguba przychodzi wówczas na pozór nie wiadomo skąd, niby bez własnej winy.

Na tle tego widowiska powszechnego człowiek nabiera szacunku dla własnego narodu za te jego właściwości, które pozornie nie powinny budzić takich uczuć: za lekkomyślność, za poryw, za lekceważenie tzw. realnych obliczeń, nawet za fanfaronadę, bo gdyby nie było narodów lekkomyślnych i porywczych, rabusie kolejno wyciągnęliby z legowisk spokojnych ospalców, wyciągnęliby wszystkich, i nikt nie dałby powodu do wspólnej obrony. Jest większa szlachetność i mądrość w nieroztropności polskiej aniżeli w rozważnym kunkta-torstwie kibiców historii.



„Dzisiejsi politycy europejscy przypominają ludzi, którzy uparli się chodzić na rękach, ażeby trzewików nie zamoczyć, kiedy deszcz pada” (Jerzy Sorel).



Gdybyś mieszkańcowi jakichś wysp szczęśliwych, żyjących w nieświadomości i poza historią, gdybyś przybyszowi z którejś planety miał opowiedzieć dzieje tego roku, od dni marca po ten beznadziejny wieczór listopadowy, jakżeż to uczynisz? Zapomnij o goryczy, o szukaniu winnych, o wszystkim, co pamięć ludzka odtrąci z tych miesięcy jak zeschlą łupinę. Jakie będą twoje słowa?

Zło poznane nie równa się ze złem grożącym, niewiadomym jeszcze w swoich ciosach. Docisku tamtych miesięcy nie sposób odtworzyć w pamięci i wyobraźni, tak był oczywisty, a tak niewidoczny jednocześnie. Wśród wszelkich działań i prac codziennych, jak rozciągnięty na całą rzeczywistość wyrzut sumienia, przewijał się nieustępliwym splotem jakiś niewiadomy lęk. Z czego się składało to uczucie, przecież nie z konkretnych gróźb wroga, nie z jego opowieści o własnej sile, bo tym się nie wierzyło. My, postronni, chociaż najpierwej zainteresowani, widząc, jak kłamie, ile buduje wykrętów, byliśmy skłonni kłamstwa i przesady niemieckie przesuwac również i w to, co Niemcy mówili o swojej sile. Zresztą przy tej grozie utajonej takie postępowanie było jedyną terapią. Gdyby i zapowiedziom przewagi militarnej uwierzyć, któż byłby się oparł? Ile desperacji potężniejszej od tej, jakiej we wrześniu wiara w słuszność naszą nie poskąpiła gniazdom i walkom najbardziej beznadziejnym, musiałyby się wówczas wykrzesać z duszy zbiorowej?

Z czego powstawało to przeczucie grozy? Można nienawidzić, można nawet gardzić jakąś ideą, ale zaślepienie rozpoczyna się dopiero wtedy, kiedy przestaje się czuć związaną z czasem *m o t o r y c z n o ś ć p e w n e j i d e i*. Kiedy było spojrzeć na przeżartych wygodnictwem, skłóconych i wyrzekających się odpowiedzialności historycznej zwycięzców pierwszej wojny światowej, a spojrzeniem drugim zmierzyć podnoszącą się za naszą granicą zachodnią jednolitość narodu, jednolitość idei zdolnej dotrzeć i przemówić tym samym słowem do najprostszego człowieka co do przywódców, kiedy było zmierzyć ten prąd siły, narastający niczym lawina, któż nie rzekł sobie, że w tym potwornym widowisku jednak pierwszy kamień został celnie strącony i wciąż obrasta siłą przemawiającą do masy. Była w tym widowisku rozpetanego nacjonalizmu jakaś słuszność, która

nie jest słuszością, nie jest prawem – słuszość chwilowego, i Bóg raczył wówczas wiedzieć, na jak długo jeszcze trafnego, odczytania tych idei, które zdolne są w dzisiejszej chwili wykrzesać największą siłę. Zgodność i sprawność kierunku czyniła wrażenie, jakby kopiec termitów czy mrówek, zachowując całą celność instynktu, zdobył nagle giętkość i przewrotność inteligencji ludzkiej. Kiedy pragnie być pokierowany, posiada wszystko, czym rządzi się człowiek, obdarzony jest pragmatyczną sprawnością argumentu i uzasadnienia uczuciowego. Kiedy pragnie uderzyć, ma siłę i nieomyłność zjawiska biologicznego.

Tej sile nikt nie był w stanie przyznać słuszości moralnej. Wkład zła, polegający na absolutnej i pragmatycznej, tak pragmatycznej, że graniczącej z nihilizmem niewybredności środków, byle były skuteczne, wkład sprawności wewnętrznej tych środków, ich zdolności poruszenia masy ludzkiej, budził ten potworny lęk. Niczym tego zjawiska nie byłęś w możności usprawiedliwić, żadnej mu dać sankcji, która by wyrównała wylew celowego zła, a jednak widziałeś, jaka w tej lawinie jest sprawność historyczna, jak cofają się przed nią narody, jak starczy samego spojrzenia złej bestii, by rozkładała się w nic wola i honor, własności ludzkie i szlachetne.

Pewnego dnia stało się wiadome, że cała zaciekłość i potęga bestii obracają się ku naszej ziemi, tym samym celowym i niehumanitarnym ruchem, jaki ma wysuwająca żądło wieżyczka czołgu. Takie olśnienia nie dzieją się w żadnych patetycznych ramach. Był suchy i ciepły wieczór marcowy, niezwykle cichy, pełen przyczajonej wiosny. O późnej godzinie rozległ się dzwonek. Na chwilę do bramki wywołał cię przyjaciel. W dalekiej od gwaru miejskiego ulicy huczały jakieś samochody. Chwilę, znów umilkły. Cóż? Mobilizacja. Nie wiedziałeś, że na razie ochronna. Było nam ciężko i niespokojnie. Otwarteś radio, szukałeś w dzienniku później – nic, na pozór nic. Lecz pierwszy oddech burzy już pozostał, przylgął do myśli wszystkich i radości.

Miesiące miały się już ku jesieni. Czekanie i niepokój szły tylko od spraw ludzkich. Kiedy próba była nieuchronna, coż jej było przeciwstawić po słabszej stronie prócz szlachetnej nieogłędności? Wiemy, że można było przeciwstawić więcej broni, więcej świadomości historycznej, więcej ludzi dorosłych do tej próby, wiemy i nie zapomniemy, ale czy wynik byłby całkiem inny? Konieczność historyczna tego zdarzenia, jego wynik nieuchronny mają coś z fatalizmu. I dlatego,

naprawiając szczegóły swego postępowania, widząc błędy poboczne, wiemy równocześnie, że głównej swojej roli nie mogliśmy zagrać inaczej. Walka nie była świadomym naszym wyborem. Walka była narzucona jak przymus macierzyństwa, jak konieczność kwitnięcia i śmierci jesiennej. Musieliśmy się jej poddać, Bogu zdając resztę.

Ku jesieni szły miesiące. Spokojne były zabawy mieszkańców tej ziemi, spokojna i naiwna ich wiara w instancje, które miały ich uchronić w straszliwej przygodzie. Szli ślepi i ufni. Wystarczył dowód rzekomy, że Polska nigdy nie przegrała samotnie wojny z Niemcami, a więc... Znikała cała rzeczywistość, pozostawało pragnienie. Obcy zapewne, wróg zaś szczególnie, nazwą to typowo polskim niezdawaniem sobie sprawy z rzeczywistości, bytowaniem w świecie przychylnych majaków.

Jednak nie. Ta łączywość i prostoduszność wiary była potrzebna ludowi – ach, wiem, co mi tu przypomnicie, ale mierzmy siebie w świetle tego, co w ciągu wojny widzimy u naszych sąsiadów – ludowi dobrodusznemu historycznie, uступliwemu, nieskłonemu w absolutny sposób wyzyskiwać rzadkie swoje racje siły, ludowi, który nade wszystko pragnął spokoju, łagodnej radości zabudowania, zagospodarowania się na swoim. Bo równocześnie lud twardy, gdy bronić musi swojego dziedzictwa, w przedziwny sposób dzielący swoją historię i swój charakter zbiorowy pomiędzy częste chwile walki i porywu, rzadsze chwile spokoju i spożywania. Z nadmierną skwapliwością przechodzący do tych chwil drugich. Ta polska łączność kultu dla rycerskiego ramienia i – poczucia humoru, cnoty najbardziej niepotrzebnej w historii, najmilszej na czas codzienny. Rzeczpospolita Babińska i Chocim. Fraszki szlacheckie i wojny szwedzkie, Zagłoba i Skrzetuski. Szedł więc ku doświadczeniu spokojny, a wierzył w byle co, aby do ostatniego momentu wytrwać w zabawach pokoju. Mówił o gotowości, plótł dobroduszenie, że już wygrał wojnę na języki, ale właściwie dopiero dzień oczywistej już klęski wy dobył z niego hart i bohaterstwo.

Spokojowi jego pragnęła przyświadczyć ziemia. Gdy przez późne lato tygodnie przemienić się już miały w jesień, piękno tej ziemi stało się tak niezależne od wszystkiego, co ludzie niosą, od ich trosk, od tego czekania, co tkwiło w każdej godzinie, że tak chyba wyglądać muszą poza czasem i poza dziejami wyspy szczęśliwe. Te, o jakich mówi w najpiękniejszym ze swych poematów Norwid:

Pogody równej – nie trud i ciąg.

Czekał zaś właśnie dziejów trud bliski, przyczajony za świtem każdego dnia, który jeszcze mijał spokojny. I dlatego ta swoboda i niezależność piękna od ludzkich pragnień była okrutna. Odczuwaliliśmy ją chwilami, w dniach ucieczki i lęku, jak drwinę i najwyższą obojętność, jakżeż niesłusznie. Już dzisiaj, coś będzie po latach wielu, ten udział na pozór obojętny i okrutny zdaje się w jakiś dziwny, naszym miarom niedostępny sposób włączać w walkę, dawać jej ramę epicką, jej i ostatnim czekaniom. Była to może ironia tej pani najwyższej, ziemi, nosicielki wszelkich bohaterstw i przywiązań – ukażę ci w porze napięcia i walki piękność swoją całą. Choć nie będziesz chciał, choć będziesz się zżymać i niecierpliwić, pamiętaj, przy tobie byłam we wszystkich swoich powabach i taką masz mnie bronić. Dlatego trwały dni od słońca huczne, dlatego noce płakały od gwiazd i wyliczały dusze mające przeniknąć wnet w cmentarze i groby byle jakie, żołnierskie, dlatego zniknął lot obłoków, jak zdawał się zniknąć czas.

W dzień, kiedy dzieci polskie zwykły po lecie zachodzić do szkoły, na wielkim półokręgu granic, o świecie i we mgle odezwały się karabiny i działa. Ramię wroga leżało wielką obręczą. Od wszystkich granic ku niemu wystawionych ruszyły przerażone łańcuchy pieszych i wozów, dzieci i kobiet. Najeżdźca następował żelazem i motorem, dławiony własną stopą miał być szybszy. Nad miastami, nad osiedlami, nad kolejami, nad polami, gdzie tylko był ślad życia ludzkiego, rozpostarło się rojowisko samolotów. Dotarły do wszystkich gniazd, ptaki tej jedynej jesieni. Widziałeś, jak nad kluczem machin ludzkich przeciągał klucz żurawi. Rytm życia szedł nieskłócony i dzieci na świat przychodziły na wozach wędrowców. Tak przed wiekami uciekać musiały plemiona całe, pędząc przed sobą bydło, dobytek zabierając co najpotrzebniejszy. Następowало plemię inne, głosząc, że zdobywa na wieki, że krew silniejszego przelana przy zdobyczy pieczętuje zdobytą ziemię prawem wyższym od wszelkich praw innych. Milczące, znużone rzesze w tych godzinach zdawały się pochodzić wprost z zapomnianych grobów powstańczych, na taką samą klęskę i beznadziejność podniesione nocnym oddechem ziemi. Polskie ponure zmartwychwstanie wszystkich mar na krótką chwilę niepodległości poniechanych.

Po tygodniu walki najazd uderzył o próg stolicy. Ziemia patrzyła nadal pyszna i surowa. Tydzień wystarczył, by rząd tej ziemi stał się wędrowcem, jak każdy jej obywatel najlichszy. Gnany bombami wroga, oburzeniem podwładnych, przemykał się zatłoczonymi drogami, przypadał na rzadkie postoje, aż w błahej mieścinie pokuckiej porzucił swój kraj, kiedy od wschodu ruszyło plemię drugie. Prezydent na obcej ziemi ukazał cudzoziemski paszport, marszałek wojsk zgubił gdzieś buławę. Ja nie szydę. Wspominam tylko sprawy bardzo niedawne, wstydlive i hańbiące, a czasem myślę, że może kiedyś będą one tragiczne. Odpędzone od granic, których usiłowały bronić, wojska walczyły w głębi kraju z wrogiem, który był szybszy, liczniejszy, po zwycięstwo idący jak po prawo swoje. W szkołach niszczył zbiory, rozpruwał wypchane ptactwo, palił książkami lub załatwiał w nie potrzeby naturalne, ludność cywilną rozstrzeliwał jako sprawców wojny, szedł wspaniałomyślny i przestrzegając wszelkich praw wojny. Nocami auta wywoziły zdobyte zasoby, futra i wina, ubrania i zboża, wszelki dobytek nie zrabowany przez swojskie hieny.

Po klęsce szybko nadeszła jesień. Ziemia zwinęła swoje dekoracje, gdy już nie miały czemu towarzyszyć. Do opuszczonych domostw ściekali uchodźcy. Na drodze ich stawały już nowe granice, cofały się i zmieniały. Ta ziemia zrasta się wolno, jak wszelkie ciało żywe, krają ją szybko i krwawo, również jak ciało żywe. Plemię wschodnie odebrało część łupu zdobywcy właściwemu. Nie ufało mu i wołało się dla bezpieczeństwa podzielić, ale w ponizeniu pokonanych było zgodne. Pierwsza granica łupów miała pójść wzdłuż Wisły, w poprzek stolicy. Na mostach stolicy miały stanąć posterunki graniczne. Z krzywdą dla dobitności tego współnictwa nie została ta linia idealna przeprowadzona.

Powróciliśmy. Nie wszyscy. Jedni poszli na tułaczkę, którą to już polską emigrację, drudzy od razu w ziemię. Padło państwo, odebrana nam jest broń i znów tylko ona, ziemia, pozostała nad nami. Tej jesieni naprawdę listopadowe wichry płaczą nad Polską. Tej jesieni naprawdę ulewy i wczesne śnieżyce przybijają nieznane mogiły. Tej jesieni naprawdę szeptu dziwne chodzą po okutanych na zimę ogrodach. Powstają wszystkie dawne duchy polskie, łaskawie na urlop puszczone przez tych lat dwadzieścia, ważniejsze dzisiaj od nich. Ci, co naród spowiadali i co szukali w nim siły, ci, co pytali o prawo, dla którego naród ma żyć, wszystkie tylko odłożone, lecz nie dokonane,

nie rozplątane sprawy polskie stają przed nami. Czekają na nowy warsztat i na pracowników nowych. I kiedy po powrocie na twoje wyspy zapytają cię, przybyszu co czynimy w te noce po klęsce, odpowiedz: wiążą potargane ogniwa, wierzą, że pomyłka jednego pokolenia nie zdoła zgubić narodu. Przy nich jest ziemia, towarzysza milcząca i wielka. Była w klęsce i nie opuściła w dociekaniu sumień, wierna gospodyni pszenicznych falowań, ściernisk i jesiennych prac czynionych duchem.



Wszystkim broniom dziękował Hitler za udział w zwycięstwie nad Polską, lecz przemilczał broń nie mniej ważną od pancerną. Dzieło kulawego kobolda, propagandę. Sprawcami naszej klęski była niższość broni, trudność położenia strategicznego, niedostatek liczebny żołnierza. Lecz wobec nas użyta została podobnie jak wobec Czechosłowacji broń nie znana dotąd historii – propaganda, i na naszym przykładzie lepiej się staje widoczne jej działanie, albowiem tutaj dopiero było to działanie połączone ze skutkami broni rzeczywistych, niosących śmierć.

Propaganda niemiecka opowiadała o niesłychanej wyższości uzbrojenia niemieckiego, o potędze maszyn wojennych, o lotnictwie, przed którym tak się ugięły Francja i Anglia, że bez wystrzału oddały Czechosłowację. Opowiadała o wojnie totalnej, gazowej, chemicznej, bakteryjnej, o desantach, nie bacząc, na ile trudności technicznych napotyka użycie podobnych środków bojowych, podsyciała nienawiść niemiecką przeciwko nam, a tej niewiele drewek potrzeba, by wybuchała pod chmury, przygotowywała przez szeptane wieści, przez szpiegostwo broń przeciwko sercom i odwadze. I ukuła swoją długą pracą, łudziliśmy się zrazu, iż bezskuteczną, broń najzjadliwszą, nieuchwytną a uderzającą w moralne ośrodki oporu każdego człowieka.

Niedziela trzeciego września rankiem była jeszcze spokojna. Ku frontowi ciągnęła ciężka artyleria. Świeciły świeże rzemienie i uprząż, działa stękały po wybojach i jaszczce. Przed chwilą Wielka Brytania wypowiedziała wojnę Niemcom i z samych znajomych za-